719

Z chwili bieżącej.

Dawno już minął czas, kiedy z ironją można było mówić o „makaronikach“ prawodawczych, któremi rząd Dumę państwową zatrudnia, o owych setkach drobnych i nieciekawych projektów, masowo produkowanych przez dykasterje biurokratyczne i hurtownie Dumie przekazywanych. To, czym się teraz Duma zajmuje, są to kwestje pierwszorzędnej wagi: przewrót w stosunkach rolnych, sposoby radykalnego zgnębienia obcoplemieńczej „intrygi“, przekształcenie karty gieograficznej, zmiany, omal nie wkraczające w dziedzinę prawa międzynarodowego! Nie można wątpić, że patent dojrzałości został przyznany Dumie.

Prawda, przyznanie to jest warunkowe: wymagane jest, żeby Duma to czyniła i uchwalała, czego rząd pragnie; gdyby postąpiła inaczej, dni jej zapewne byłyby policzone. Ale przedewszystkim ta Duma, Duma 16 czerwca, Duma Guczkowa i Bobrińskiego, nie może postępować inaczej. Następnie, od przywódców kadeckiej opozycji wiemy, że dla ugruntowania konstytucji najważniejsze jest przyzwyczajenie. Przecież dla tego, żeby to przyzwyczajenie utrwalić, jeździł p. Miliukow do Anglji i dawał się fetować jako leader „opozycji Jego Cesarskiej Mości“! Niech tylko rząd przyzwyczai się mieć do czynienia z Dumą, niech tylko przekona się o jej pożytku, a rychło „nowy ustrój“ stanie na twardym gruncie...

Zaiste, to wszystko, czego obecnie jesteśmy świadkami, z punktu widzenia umiarkowanego, ewolucyjnego i „ogólno-

państwowego“ konstytucjonalizmu, usposabia do nader optymistycznego nastroju. Prawda, dzieją się nadużycia, na prowincji panuje samowola administracyjna, czyny rozmaitych wielkorządców prowincjonalnych wciąż wywołują coraz to nowe sensacje. Ale to są zjawiska przejściowe. Rząd przecie sam postarał się o ukrócenie nadużyć, naznaczając rewizje senatorskie! P. Stołypin w ostatnim swym przemówieniu w Dumie stwierdzał, że wszystko idzie ku lepszemu, że ilość wysyłanych administracyjnie się zmniejsza, a stany wyjątkowe obejmują coraz to mniej miejscowosci; o ile zaś dzieją się nadużycia i akty samowoli, to sam rząd tępi te objawy i ma nadzieję, że je wytępi... Niech tylko ustalone zostaną „swobody“ konstytucyjne, nad czym z takim powodzeniem pracują październikowcy, a wszystko się zmieni i nastąpi panowanie legalności. Będzie ona błogosławieństwem dla prawomyślnych i groźbą dla nieprawomyślnych, którzy może zaczną wzdychać do starych, przedkonstytucyjnych czasów; ale takim trudno dogodzić... W każdym razie, jeżeli są ujemne strony współczesnej konstytucyjności, ujawniające się w życiu codziennym, to są to drobnostki w porównaniu z niewątpliwym faktem, iż Duma państwowa, mimo wszystkie despekty, jakie ją ze strony reakcyjnej prawicy spotykają, powoływana jest do coraz ważniejszych zadań państwowych, i w spełnianiu tych zadań sprawnością swą o całe niebo dawne rządy biurokratyczne przewyższa.

Zastanówmy się na chwilę nad najbardziej kapitalnemi sprawami, które obecnie pod obradami Dumy się znajdują, nad rozmaitemi reformami, dotyczącemi kresów, zamieszkałych przez „obcoplemieńców“, nad projektami samorządu ziemskiego na Litwie i Rusi, odłączenia Chełmszczyzny i wprowadzenia „ogólno-państwowego“ porządku prawodawczego w Finlandji. Od niepamiętnych czasów jednym z głównych celów polityki państwowej jest uszczuplenie wpływów polskich na Litwie i Rusi, zaszachowanie ich w Chełmszczyźnie, zniesienie prawno-państwowej odrębności Finlandji. Wyczerpano cały arsenał środków, któremi stary porzą-

dek rozporządzał, cel jednak nie został osiągnięty. Biurokracja nie zdała egzaminu, wykazała swą nieudolność. Organy, najwierniej interesom biurokracji służące, jak naprz. „Nowoje Wremia", występują z gwałtownemi atakami przeciwko kierownikom administracji kresowej, dowodząc, że oni słabością swą, niekonsekwencją. ustępliwością sprawę państwową na kresach gubili. To, co biurokracja zepsuła, teraz Duma ma naprawić. Uczyni ona to w radykalny sposób, uchwalając, w charakterze przedstawicielstwa narodowego, wielkie akty prawodawczo-polityczne, które miejsce dawnych środków administracyjnych zastąpią. Samorząd ziemski na Litwie i Rusi, oddając opiekę nad sprawami lokalnemi w ręce zapewnionej z góry i dobrze opancerzonej ogromnej większości rosyjskiej, obiecuje stać się potężną dźwignią akcji rusyfikacyjnej. Odłączenie Chełmszczyzny da możność zastosowania rozmaitych praw wyjątkowych przeciwko Polakom, zupełnego usunięcia języka polskiego, ograniczenia prawa nabywania ziemi i t. d. Wreszcie ustanowienie „ogólno-państwowego" porządku prawodawstwa w Finlandji, wyłączając szereg spraw niezmiernej wagi z kompetencji sejmu finlandzkiego i przekazując je kompetencji rosyjskich instytucji prawodawczych. prowadzi je do zniesienia odrębności Finlandji, czyni z niej zwykłą prowincję samorządną, pozbawia wszelkiego znaczenia jej sejm, który z takim uporem swych praw bronił. Właściwie zniesienie odrębności finlandzkiej leży już w samym sposobie załatwienia tej sprawy. w ignorowaniu prawno-państwowego stosunku Finlandji do Rosji, w oddaniu decyzji o zmianach prawodawstwa finlandzkiego rosyjskiej Dumie państwowej, z pozostawieniem sejmowi finlandzkiemu tylko prawa wydania swej nieobowiązującej opinji.

I Duma państwowa bierze się do roboty. Do misji swej reakcyjna większość przystępuje z entuzjazmem, traktuje ją jako krucjatę przeciwko wrogom państwowości. Mówcy z prawicy i z pośród październikowców wyrażają swą wdzięczność za powołanie Dumy do spełnienia tych czynów patrjo-

tycznych. Gorliwość Dumy, chęć usprawiedliwienia pokładanej w niej ufności, jest tak wielka, że postanawia ona, jeszcze przed wakacjami letniemi, dzieło rozpoczęte do końca doprowadzić.

Niestety, droga do celu zamierzonego nie jest tak łatwa i prosta, jak tego pragną chorążowie nacjonalistyczni, i raz po raz powstają nieprzewidziane przeszkody, które ich rozpęd prawdziwy hamują.

Pierwsza utknęła sprawa reformy ziemskiej na Litwie i Rusi. Zadanie było niełatwe. Trzeba było pogodzić ograniczenia Polaków z zachowaniem zasady wysokiego cenzusu majątkowego, tak drogiej sercu październikowców. Ostatecznie rząd uznał, że przeprowadzenie reformy w gubernjach Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej jest nie na czasie, i ograniczył swój projekt do 6 pozostałych gubernji litewsko-ruskich. Ale i to nie rozwiązało trudności, i jak ostatnie wieści głoszą, październikowcy mają zamiar na razie nalegać na zaprowadzenie instytucji ziemskich tylko w gubernjach Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej.

W sprawie chełmskiej komisja dumska dotąd nie ukończyła swych czynności. Rozprawy w niej przeciągnęły się nadzwyczajnie. Przedstawiciele październikowców i nacjonalistów rosyjskich chcieli rzecz całą zrobić gruntownie i wystąpili z argumentami historycznemi, dowodzącemi słuszności odłączenia Chełmszczyzny. Ale dowody historyczne zostały przez polskich członków komisji obalone, wobec czego przerzucono się, z takim samym powodzeniem, do argumentów statystycznych, etnograficznych, lingwistycznych. Wreszcie, gdy sprawa się nie posuwała, postawił ją na właściwym gruncie prawicowiec Szeczkow, oznajmiając, że odłączenie Chełmszczyzny jest aktem politycznym, wobec czego wszelkie argumenty naukowe są zbyteczne. Prace komisji teraz z pewnością w szybszym tempie pójdą!

Zahaczyło się także coś i w sprawie finlandzkiej. Gazety rosyjskie doniosły, że niektórzy członkowie z prawicy komisji Izby państwowej, utworzonej w celu rozważenia „pro-

jektu finlandzkiego", jak również wielu członków Rady Państwa, wychodząc z tej zasady, że Monarcha posiada dotychczas prawo stanowienia dla Finlandji praw bez udziału sejmu finlandzkiego, przyszli do wniosku, iż oddanie Dumie rosyjskiej kompetencji w kwestjach prawodawstwa finlandzkiego będzie zmniejszeniem praw Monarchy. Według innych wersji, zdanie to popierają pewne bardzo wpływowe osobistości ze sfer biurokratycznych, nieprzyjazne Stołypinowi i zarzucające mu, że sposób zniesienia odrębności finlandzkiej, przez niego wybrany, prowadzi do zbytniego rozszerzenia praw Dumy i zwiększenia jej znaczenia. Przy tym obrocie rzeczy p. Stołypin występuje w charakterze liberała, utrwalającego konstytucjonalizm rosyjski przez przyznanie Dumie prawa do załatwienia się z Finlandją!

Że w konstytucjonalistach typu październikowego znajdzie on mocne poparcie, że z gotowością poświęcą oni Finlandję, Polskę i wszystkich „obcoplemieńców" razem wziętych, aby przy tym ogniu swą pieczeń upiec i na ołtarzu państwowości rosyjskiej światełko konstytucyjne zapalić, to nie ulega wątpliwości. Napróżno ostrzegał ich Miliukow, że podejmując się roli parawanu, Duma bierze na siebie całą odpowiedzialność, ześrodkowuje na sobie wszystkie protesty, całą nienawiść ludu fińskiego. Odpowiedziały mu głosy z centrum i prawicy: „Tak jest! dobrze! bierzemy na siebie odpowiedzialność!"

Czy odpowiedzialność ta nie okaże się zbyt ciężką dla tych, co z lekkim sercem ją na siebie biorą? Przyszłość to pokaże. W każdym razie sprawa finlandzka, gdy w całej swej rozciągłości postawiona zostanie, odegra niewątpliwie w dziejach państwa rosyjskiego doniosłą rolę. Nie jest to kwestja, która jednym głosowaniem i jednym pociągnięciem pióra załatwiona być może...

T. Zaklika.

Prawna ochrona pracy a przemysł domowy w Szwajcarji.

(*Dokończenie*).

III.

Jednym ze środków, uruchomiających siły społeczne do walki z chałupnictwem, są wystawy przemysłu domowego, jakie w ostatnich latach poczęto urządzać w Europie Zachodniej.

Za przykładem wystawy berlińskiej z r. 1904-go, Szwajcarski Związek Robotniczy przy współudziale rządu związkowego i poszczególnych kantonalnych urządził taką wystawę w Zurychu *). Zgrupowano tu materjał, któryby, wzbogacając szczupłe wiadomości posiadane o chałupnictwie szwajcarskim, uplastycznił jednocześnie ludowi szw. cały bezmiar niedoli chałupników i dałby mu impuls do jej złagodzenia. Równocześnie z wystawą w dniach 7-ym i 8-ym sierpnia miał się w Zurychu odbyć zjazd ochrony pracy chałupników w Szwajcarji.

I istotnie działalność ta jest b. na miejscu w Szwajcarji, w której znajomość losu chałupników jest bardzo niewielka (wystawa poruszyła już umysły w tym kierunku, gdyż ukazała się spora ilość mniej lub bardziej obszernych monografji poszczególnych dziedzin chałupnictwa szwajc.), a i w sferze roboty praktycznej dotąd niewiele zdziałano.

Działalność ta, niepodlegająca kompetencji Związku (jakeśmy to wyżej widzieli), a przypadająca w udziale kantonom, ograniczyła się do kilku praw ochraniających robotnice—i o ile to leżało w możności Związku— do zakazu wyda-

*) Patrz „Wiedza", rok i tom bież. str. 440.

wania robotnikom fabrycznym roboty do domu*). A chałupnictwo gra w życiu gospodarczym Szwajcarji rolę niepoślednią!

Na zasadzie pierwszych mniej-więcej ścisłych danych o ilości chałupników, jakie nam daje wydany specjalnie przed otwarciem wystawy wyciąg ze spisu przemysłowego szw. z d. 9-go sierpnia 1905 r.**) ilość chałupników, pracujących w 70,873 zakładach (12,4% wszystkich zakładów przemysłowych) wynosi 92,162 (5% wszystkich robotników szwajcarskich i 2,66% całej ludności).

W gałęziach przemysłu, w których istnieje praca domowa, chałupnicy stanowią 28,35% wszystkich robotników, pracujących w tych branżach (325,022) pracują w 59,77% wszystkich zakładów tych branży (118,564).

Liczby tu podane nie są jednak zupełnie ścisłe: 1) spis nie obejmował dzieci poniżej lat 14-u, które stanowią poważny odsetek chałupników i których ilość, według opinji znawców, dosięga pokaźnej sumy 25,000; 2) dokonany był w lecie, kiedy to wiele przedsiębiorstw chałupniczych nie bywa czynnych (naprz. wyrobnicy artykułów ze słomy pracują przeważnie w zimie)***); 3) nie obejmuje on wszystkich chałupników, lecz jedynie chałupników w najważniejszych przemysłach domowych. Pomimo tych poważnych braków liczby te mają wielką wagę, gdyż są pierwszemi danemi, otrzymanemi drogą ścisłego liczenia, nie przez szacowanie. Jeszcze w r. 1904 dr. Schuler w pracy cytowanej****) mógł li

*) Die Hausindustrie in der Schweiz. Auszug aus der eidgenössischen Betriebszählung v. 9 August 1905. Bern 8 Iuli 09. Str. V.

**) By zrozumieć jak się brak ochrony pracy chałupniczej przyczynił do jej rozpowszechnienia, wystarczy choćby jeden następujący przykład: przemysł hafciarski, by uwolnić się od wpływu prawodawstwa fabrycznego, od r. 1872 do 1891 staje się częściowo chałupniczym (60% wszystkich maszyn), częściowo zaś redukuje ilość maszyn do 2-ch, by nie być „fabryką"; w ten sposób robotnicy w tej branży przemysłu zupełnie nie podlegają ochronie. Schuler: Die Schweizerische Hausindustrie (Zeitschr. f. Schweiz. Statistic 141—2).

***) Ibidem, str. IV.

****) Str. 157.

tylko w przybliżeniu określić ilość chałupników i to drogą szacowania, podając ich sumę na 133,000, co, jak widać z powyższych danych, po wprowadzeniu do nich poprawki (25,000 dzieci!) było blizkie prawdy. Jak się te ogólne liczby rozkładają na poszczególne gałęzie przemysłu, pouczają następujące tablice:

Tablica I.

PRZEMYSŁ.	Ilość wszystkich zakładów.	Ilość zakładów chałupniczych.	Na 100 zakł. przemysłu przypada zakł. chałup.
I. Przędzalnictwo i tkactwo . .	55251	51729	93,62
II. Przemysł metalowy	13654	9603	70,33
III. Wyrób odzieży i konfekcja .	46650	8460	18,13
IV. Snycerstwo	755	553	73,24
V. Wyroby z tytoniu	654	357	54,58
VI. Koszykarstwo i wyplat. krzeseł	1600	171	7,59
Ogółem	118564	70873	59,77

Tablica II.

PRZEMYSŁ.	Ogólna ilość robotników	Ilość chałupników.	Na 100 rob. przypada chałupników	Ilość zatrud. w przemyśle chałupn. na 100 ogólnej liczby.
I. Przędz. i tkactwo	171026	69149	40,43	75,03
II. Przem. metalowy	53830	12566	23,34	13,64
III. Odzież.	86313	9221	10,68	10,00
IV. Snycerstwo. . .	1254	652	51,11	0,70
V. Tytuń.	10163	389	3,82	0,43
VI. Kosz. i wypl. krz.	2436	185	10,68	0,20
Ogółem . . .	325022	92192	28,35	100,00

Z tablic powyższych widać jak poważną rolę gra przemysł domowy w najważniejszych dziedzinach przemysłu szwajcarskiego, jak naprz. w przemyśle tkackim i przędzalniczym (wyrób haftów, koronek, tkactwo jedwabiu, płótna) i metalowym (zegarmistrzostwo).

Pomiędzy przemysłem fabrycznym a chałupnictwem, rozpaczliwie broniącym się od zagłady, toczy się w tych branżach zacięta walka.

Niestety nie mamy żadnych danych chronologicznych o rozwoju chałupnictwa szw., na zasadzie których moglibyśmy ściśle określić jego stopniowy upadek. F. Schuler, w pracy cytowanej, i J. Lorenz, w naukowej części rozumowanego przewodnika po wystawie*) stwierdzają, według opinji znawców, stopniowy zanik przemysłu domowego.

Konkurencja przemysłu fabrycznego musi doprowadzić w końcu chałupnictwo szwajcarskie do „naturalnych granic wyzysku, których już przekroczyć nie można; gdy tylko rozwój dobiegł tego punktu — a trwa to długo —, wybija godzina wprowadzenia maszyn i szybkiej przemiany przemysłu domowego w fabryczny“ **).

Proces ten nie jest szybki. Jednak w niektórych dziedzinach przemysłu szwajcarskiego godzina ta już wybiła, w innych po długim okresie rozkładu stopniowego, prędzej czy później wybić musi. „Podczas gdy tkactwo domowe jedwabiu znajdowało się dawniej w stanie zupełnego rozkwitu, dziś przeżywa ono okres walki konkurencwjnej z produkcją fabryczną, w której ostatnia bezwątpienia zwyciężyć musi“ ***). Ilość warsztatów ręcznych zmniejszyła się od roku 1871 do 1906-go o 62,4%, ilość zaś mechanicznych w tym samym czasie wzrosła o 1534%. Od r. 1905 nastąpił jeszcze silniejszy zanik chałupnictwa w tkactwie jedwabnym. „W oddzielnych

---

*) J. Lorenz: Führer durch die schweizerische Heimarbeitausstellung. 1909.

**) Marx „Kapitał“ I str. 388.

***) Lorenz l. c. str. 27.

gminach nie można dziś (1909 r.) znaleźć nawet połowy tkaczy z przed 2—3 lat“ *).

Mniej więcej podobnie brzmi relacja znawców o stanie innych przemysłów tkackich, a w pierwszej linji zegarmistrzostwa: minimalne wynagrodzenie w jednej branży zmusza nowoprzybywające siły do szukania zajęcia w lepiej płatnych branżach.

Chałupnictwo rozpaczliwie walczy z fabryką: często stosuje najdoskonalsze maszyny, siłę parową lub elektryczną**), lecz prędzej czy później jako forma przejściowa produkcji musi ulec przewadze fabryki, gdyż wszystkie te udoskonalenia przynoszą mu złe strony produkcji kapitalistycznej, pozbawiając go jej stron dodatnich — *organizacji* wytwórczości, tak wielką rolę grającej w przemyśle fabrycznym.

Ale nietylko maszyna jest wrogiem chałupnictwa szwajcarskiego. Destrukcyjnie wpływają na nie również zmiany mody. Stosowanie drogich maszyn, które b. często są własnością chałupników, nie pozwala się im przystosowywać do nowych potrzeb, zresztą poważną przeszkodą w tym względzie jest izolacja chałupnika od świata zewnętrznego, nie pozwalająca mu zorjentować się w coraz to zmieniających się rodzajach popytu.

Względnie przystosować się do warunków mogą li tylko te dziedziny przemysłu, w których chałupnictwo nie konkuruje z fabryką i nie wymaga stosowania drogich maszyn, co nie czyni robotnika tak czułym na zmiany konjunktury. Ma to naprz. miejsce w snycerstwie berneńskim, które stale, lecz powoli wzrasta.

Stały spadek zarobków, który z natury rzeczy towarzyszyć musi stopniowemu zanikowi przemysłu domowego, może nie mieć jeszcze tak zastraszającego znaczenia, jeżeli

---

*) B. Imhof „Die Handseidenweberei an der Innerschweiz.“ str. 2

**) Spis z r. 1905 podaje 1,991 zakładów chałupniczych, w których zastosowano motory: stanowi to więcej niż 2% zakładów chałupniczych Str. 50.

uprawianie chałupnictwa jest tylko uoocznym, dodatkowym zajęciem; lecz takim jest ono tylko w 1/4 części chałupników; dla pozostałych 3/4 stanowi ono albo jedyne, albo też główne zajęcie *). Zajęcie zaś to jest z natury rzeczy niezmiernie nizko płatne.

Pojęcie o skali zarobków daje dział wystawy, w którym zebrane są wyroby chałupnicze. Każdy wyrób zaopatrzony jest w etykietę, dającą dokładne pojęcie o skali zarobków, czasie pracy i sytuacji robotnika. W niektórych przemysłach podany jest przeciętny zarobek na godzinę: w wyrobnictwie wstążek jedwabnych wynosi on przeciętnie 26,3 centyma **), w tkactwie materjałów jedwabnych—8,4 cent., w tkactwie płótna—11,1 cent., w konfekcji damskiej 21,3 cent., w bieliźniarstwie—17,9 cent., w robotach szydełkowych—10,2 cent. i t. d. Stosunkowo największy w snycerstwie, wynosi bowiem 31,4 cent.

Na niezmiernie nizką stopę zarobków wpływa jeszcze i ten moment, że dzięki odosobnieniu chałupników (organizacje istnieją tylko w kilku gałęziach przemysłu tkackiego) umowa o pracę nie jest zbiorową, lecz jednostkową. Prócz tego pomiędzy chałupnika a przedsiębiorcę wciska się jeszcze b. często pośrednik, który za swe „trudy“ zgarnia poważny procent zarobków chałupniczych. O stopniu zależności chałupników od Fergger'ów posiadamy tylko tę wiadomość, że wypłatę od pośrednika odbierają robotnicy w 20,168 zakładach; w pozostałych—bezpośrednio przez pracobiorcę ***).

Dzięki tym wszystkim warunkom zanotowaliśmy na wystawie następujące zarobki: 28-letnia szwaczka fartuchów w Zurychu zarabia na godzinę 5 centów; kobieta pracująca w konfekcji dziecięcej w Zurychu, które to zajęcie jest jedynym źródłem jej dochodów, zarabia 8 cent. na godzinę; 62-letnia panna. krająca i szyjąca koszule (jedyny zarobek)

---

*) Die Hausindustrie in der Schweiz. str. 40:

**) 1 frank — 100 centym. — 38 kop.

***) Die Hausindustrie in der Schweiz. str. 48.

dostaje 6,3 cent. na godzinę; 10-letnia dziewczynka, wyrabiająca wstęgi ze słomy (Aargau) zarabia na godzinę *1,5 cent.*, będące jej jedynym zarobkiem; praca, trwająca po 15 godzin na dobę (odbywa się w lokalu, który służy za sypialnię dla 6 osób) przynosi jej 22,5 cent. t. j. mniej niż 10 kop. zarobku!

Takich lub podobnych przykładów dałoby się znacznie więcej przytoczyć, jeśliby nie stał na zawadzie temu brak miejsca.

W 1652 zakładach (2,33%) wypłata odbywa się w towarach (truck-system) *).

Co się tyczy długości dnia roboczego, to wystawa, jak i urzędowa statystyka nie dają żadnych informacji; robotnicy pracują przeważnie na akord. W każdym razie praca nie może być krótka, jeżeli naprz. związek pasmanteryjny (jeden z nielicznych!) jako maksimum pracy na dobę ustanowił 15 godzin. Zdrowotność jej musi również dużo pozostawiać do życzenia, jeżeli urząd statystyczny kantonu Aargau stwierdził, że w okręgach, w których istnieje domowy wyrób artykułów ze słomy, ogromną smiertelność nowonarodzonych dzieci *).

Jeżeli dodamy jeszcze, że w chałupnictwie przeważają liczebnie kobiety (72,8%) i to w przemysłach szczególnie szkodliwych dla zdrowia (w tkackim, przędzalniczym, tytoniowym pracują prawie wyłącznie kobiety) **), że dzieci stanowią (jeżeli uwzględnimy ilość ich nieobjętą spisem) mniej-więcej $^1/_4$ chałupników, obraz niebezpieczeństwa, związanego z przemysłem domowym w Szwajcarji, będzie aż nadto plastyczny.

Chałupnictwo szwajcarskie gwałtownie domaga się in-

---

*) Die Hausindustrie in der Schweiz. str. 48.

*) Lorenz l. c. str. 48.

*) Die Hausind. in der Schweiz. str. IX.

terwencji państwowej. Dotychczasowa bezczynność w tej tak ważnej dziedzinie reformy społecznej, która bezsprzecznie przyczyniła się do tak bujnego rozkwitu tego chwastu kapitalistycznego w republikańskiej i ludowej Szwajcarji, tymbardziej winna naglić prawodawców w kierunku wprowadzenia radykalnych reform.

Protesty wychodzą, niestety, nie ze strony samych chałupników; chałupnik sam jest tak zdegradowany, tak ciemny, że nie ma sam poczucia, że jest wyzyskiwany. Im ciemniejszy jest on, im mniej odporny, tymbardziej winno mu się nieść pomoc zzewnątrz w formie ochrony prawnej. Należy raz na zawsze skończyć z obłudnym lękiem, jaki w świętoszkach szwajcarskich wzbudza „mięszanie się prawodawcy w osobiste i rodzinne sprawy chałupnika“.

Najradykalniejszym środkiem ochronnym byłby zakaz pracy domowej, której istnienie, jakeśmy widzieli, jest oparte li tylko na bezgranicznym wyzysku. Jednak wobec roli, jaką ona odgrywa w życiu gospodarczym Szwajcarji, jest to zamierzeniem niemożliwym do wykonania. Chałupnictwo teraz jest *malum necessarium* (złem koniecznym) Szwajcarji. Prawodawstwo winno conajmniej wpłynąć na zwiększenie skali zarobków chałupnika (na wzór Australji i Anglji), gdyż bez tego wszelka reforma będzie pozorna.

Potrzeba reformy przenikła do świadomości b. wielu. Powszechne domaganie się jej znalazło wyraz w odbywającej się obecnie rewizji związkowego fabrycznego prawa ochronnego, które prawdopodobnie zostanie rozszerzone na cały przemysł.

J. Raduski.

„Powstańcie smutni!“

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, szanować i wierzyć.
Dziś—pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.

. . . .

My nie tracimy nic, bośmy odrazu
Nic nie przynieśli.

(Z Tetmajera).

I.

Od paru lat gazety rosyjskie codziennie przynoszą wiadomości o samobójstwach „najmłodszych“. Nie są to już, niestety, pojedyncze dramaty. Klęska ta stała się w Rosji zjawiskiem społecznym, zmora ciężka zawisła nad najżywotniejszą, jakby należało sądzić, częścią społeczeństwa, nad jego najmłodszym pokoleniem. Co w tym wszystkim najbardziej wydaje się groźnym, to bezwątpienia fakt, iż przyczyny, skłaniające większość tych skazańców do ich kroku—to nie są zrozumiałe i namacalne klęski, to nie porażki w walce odniesione, nie nędza, nie głód, nie te albo inne zasady. Ot, poprostu umierają—bo „życie jest bajecznie nudne“, bo samotność gniecie i nie ma ani woli, ani możności przytulić gdzie głowę, oprzeć na czymś serce, ciepła żądne; — bo wreszcie: „nie ma po co żyć“.

Zrozumiejcie, czytelnicy, tę jedną rzecz, a zrozumiecie całą grozę i tragizm tych smutnych, rozpacznych zejść dzieci, które żyć nie zaczęły. Oto—wśród miljonowego miasta—gniecie samotność, oto wobec potężnego zmagania się sił życiowych, wobec ciągłego, nawet w czasach reakcji, posuwania się naprzód wzrastającego i wzbierającego życia—„życie jest nudne“, —wobec zadań olbrzymich, trudnych, a uroczych, pochłaniających — żyć nie ma po co. Uprzytomnijcie sobie czytelnicy, że ludzie, przed któremi jeszcze całe życie otworem, którzy jeszcze tylko nieznaczną część jego zdołali dojrzeć—już nie mają woli życia, już szukają przed nim ucieczki. W tym bankructwie człowieka przed rozpoczęciem życia leży groza i tragizm epidemji samobójczej i tylko w nim*).

*) Muszę się zastrzec, że z pośród wypadków samobójstw. które ten artykuł rozpatruje —wykluczam samobójstwa z powodu braku pracy: jakkolwiek oburzającym jest fakt bezrobocia wobec takiego ogromu nie-

Bo, jakkolwiek to się komu dziwnym wyda, sam w sobie wzięty fakt samobójstwa, nie wydaje mi się wcale ani przerażającym, ani potwornym, ani niemoralnym, jak to wielu sądzi. Owszem, przewiduję wypadki, gdy samobójstwo jest spokojnym, świadomym siebie i uczciwym zakończeniem rachunków z życiem. Przewiduję wypadki, gdzie jest ono prawem świętym jednostki ludzkiej, prawem, którego nie wolno mu odbierać. I zdolny jestem wyobrazić wypadki, kiedy samobójstwo jest w samej rzeczy jedynym wyjściem. I, jakkolwiek to się potwornym wyda, ja doprawdy nie wiem, czy gdyby kto, w jednym z wypadków podobnych, zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w wynalezieniu środków samobójstwa—odmówiłbym mu. Jeślibym, jednak, odmówił, to chyba tylko powodowany obawą, czy nie zachodzi tu jakaś pomyłka w określeniu sytuacji, i, może, dla tego, że naogół ogromnie musi być ciężko podawać człowiekowi narzędzie śmierci—ale to już byłoby słabością. I są wypadki, kiedy na taką słabość pozwalać sobie nie wolno. O jednym z nich pisałem w „Dokumentach ludzkich“ („Wiedza“ r. 1909 t. II str. 591), drugi mogą czytelnicy znaleźć w „Upiorach“ Ibsena*), trzeci to samobójstwo prof. Gumplowicza z żoną. Znany ekonomista rosyjski A. Bogdanow w swojej powieści-marzeniu o przyszłym ustroju—„Gwiazda Czerwona“ (Krasnaja Zwiezda) podaje jeszcze jeden taki wypadek i to, zdaniem moim, niezmiernie piękny: oto świadomy twórca życia, człowiek niespożytej siły, który podjął ogromne zadania życiowe i zadania te doprowadził do końca,—spokojnie ocenił siebie, uznał, że jego rola życiowa skończona, zrozumiał, że po tym, co uczynił, — już właściwie nie ma co robić i — odebrał sobie życie.

A więc, kiedy człowiek wypełnił postawione sobie zadania i więcej nie widzi takich, któreby chciał i mógł podjąć, gdy wydał wszystkie swoje siły twórcze, a nie chce prowadzić życia pasożytniczego, gdy dotknęła go choroba nieuleczalna, gdy uświadamia sobie, że życie postawiło go na

---

zaspokojonych najpilniejszych potrzeb społecznych— mówić tu o nim nie będę — gdyż, każdy chyba dojrzy różnicę pomiędzy samobójstwem robotnika, który w ciągu kilku lat szuka naprożno zajęcia (a dziś to jest na porządku dziennym) a śmiercią chociażby trzech panien w Petersburgu, o której to śmierci pisały tyle gazety.

*) Gdzie matka, spełniając prośbę dotkniętego paraliżem postępowym syna, podaje mu truciznę, żeby skrócić jego męczarnie.

granicy spodlenia się i nie czuje siły oprzeć się życiu, gdy wreszcie jego osobiste życie stało się źródłem cierpienia i klęski duchowej, gdy prysło jego szczęście*) (zresztą trudno jest wyliczyć wszystkie wypadki),—wtedy samobójstwo nie znajdzie we mnie bezwzględnego przeciwnika, powiem więcej, wtedy dla siebie samego przewiduję jego możliwość.

W tej jednak epidemji samobójstw wśród młodzieży tylko bardzo powierzchowny badacz mógłby odnaleźć te właśnie wypadki, o których mowa wyżej, i oto dla czego. Po pierwsze, te wszystkie wypadki przypuszczają z góry głęboką świadomość, samowiedzę i znajomość życia — świadomość i znajomość, które mogą być tylko rezultatem długiej pracy i walki. Po drugie,. w warunkach normalnych są to wypadki czysto indywidualne, dotyczące oddzielnych jednostek, wynikające z ich duchowego układu, nie stanowią prawa społecznego, a tylko wyjątki z pod tego prawa. Mnogość zaś wypadków, przypadających na wiek, w którym siły człowieka szukają zazwyczaj dopiero wyjścia, kiedy życie woła do siebie z największą potęgą nieprzemożonego czaru i uroku — sprawia, że musimy dopatrywać się w tym zjawisku działania jakichś bardziej stałych czynników społecznych, że samo zjawisko staje się groźnym dla społeczeństwa. Ilość tych smutnych faktów stanowi tutaj o ich jakości. I nawet napozór bardziej zrozumiałe samobójstwa z powodu zawodu miłosnego, z powodu niepowodzeń szkolnych, czasem nawet z powodu braku pracy przybierają tu cokolwiek inne cechy, bo się odbywają zbyt łatwo, zbyt bez zastanowienia. Zawód miłosny 16-letnich dzieci, niepowodzenia szkolne,—lecz kto z nas ich nie miał?! A brak pracy i głód był zawsze, lecz tylko w wyjątkowych wypadkach doprowadzał do samobójstwa: częściej ludzie z głodu umierali, borykając się z życiem do ostatniego tchnienia, niż sobie sami swoją mękę skracali, a w każdym razie bywał to ostatni akt długiej i żmudnej walki.

---

*) Co do tego ostatniego wypadku, mogą mi powiedzieć, że instynkty społeczne w człowieku winny przeważać nad pobudkami osobistemi. Zgoda, sądzę jednakże, że bez cienia nadziei osobistego szczęścia ludzie nigdy nie będą mogli żyć i płodnie pracować, i że społeczeństwo nie może od nich nawet wymagać tego. Tu pozwolę sobie odesłać czytelników do str. 145 i dalszych książki L. Krzywickiego „W otchłani". Warszawa 1909 r.

II.

Nie trudno odnaleźć przyczyny tej zmory, jeżeli tylko porzucić najczęściej, niestety, używaną, a najbardziej zawodną i bezpłodną metodę rozpatrywania każdej jednostki ludzkiej i jej duchowego życia, jako czegoś niezależnego, najzupełniej samoistnego.

Zwracając się do podłoża społecznego, do gruntu, z którego ci „smutni“ wyrośli, z łatwością zauważymy, że są w nim zarodki tych nastrojów samobójczych, tego stanu zaniku woli życia.

Ten rozdźwięk pomiędzy skromnemi nawet wymaganiami człowieka uczciwego w stosunku do życia a samym życiem, te codzień powtarzające się komunikaty gazet o wyrokach, karach i ich spełnieniu, ta wzrastająca nawałnica reakcji społecznej, głusząca wszelkie bujniejsze kwiaty, tłumiąca wszystkie szlachetniejsze porywy, te Azefjady niezliczone,—wszystko to już samo w sobie taki fatalny wywiera wpływ na stan duchowy nawet najsilniejszych, że niektórzy skłonni są w tym widzieć ostateczne przyczyny epidemicznych samobójstw.

Ale to nie wszystko. Szalony wysiłek, nadmierny wydatek energji, na który psychika społeczna zdobyła się w latach rewolucyjnych, został wynagrodzony w tak małym stopniu, że trzeba dużej trzeźwości, dużej znajomości zjawisk społecznych, żeby nie zwątpić o wszystkim: o życiu, o zdolności społeczeństwa do życia, o celowości i wartości ideałów społecznych i pracy społecznej. Inteligiencja rosyjska i wogóle całe społeczeństwo rosyjskie, nie wdrożone do normalnego życia politycznego z przyczyn od niego niezależnych, choruje na maksymalizm. „Wszystko lub nic!“—oto jego hasło, które, o ile głębiej wejrzymy w psychikę tych ludzi, charakteryzuje nawet „postiepienowców“ (ludzi, uznających potrzebę stopniowego rozwoju i stopniowego krok za krokiem zdobywania placówek).

Przypomina mi się nowela Andrejewa „Mrok“ (T'ma), w której rewolucjonista, człowiek zdolny śmierć za swoje ideały ponieść, dostrzega jedną dziedzinę życia, o której słyszał, coprawda, ale której nie przemyślał i nie odczuł, z którą się po raz pierwszy zetknął tak oko w oko. Wydaje mu się nagle, że tej dziedziny żadne światło nie rozświetli, żadna potęga nie odrodzi, że zawsze pozostanie tam mrok, błoto i zło... I, w jednej chwili, na skutek ogromnie silnego zaburzenia duchowego, przychodzi on do przekonania, że jeśli

tak, jesli choć jeden zakątek życia pozostać ma nierozświetlonym, jeśli choć w jednej komórce pozostanie pierwiastek zła — to właściwie nie warto podejmować żadnych zadań, więcej, że „wstyd być dobrym", kiedy są źli. Coś podobnego zaszło i w psychice inteligiencji rosyjskiej *).

Zrzucona ze szczytów marzeń do smutnej krainy życia codziennego — psychika społeczna nie dostrzega poza szarzyzną tego życia tych, w istocie ogromnych, przeobrażeń, które dokonały się w samym społeczeństwie, niedocenia doniosłości procesów społecznych, które, wbrew wszystkiemu, rozwijają się i rosną, lecz które dla maksymalisty duchowego są, oczywiście, niczym w zestawieniu do jego nadziei. Wytwarza się atmosfera zgnuśnienia, apatji, atmosfera, w której rozluźnia się i pęka wszelka więź społeczna, bledną i nikną wszystkie ognie święte ideału, zanika poczucie *sensu życia*.

Zwrócą mi uwagę, że jednak ofiary epidemji—to nie są ludzie, którzy w pełni świadomości przeżyli wzloty i upadki, że to są dzieci. Jeżeli to cokolwiek zmienia w sytuacji — to chyba tylko na korzyść moich wywodów. Nie można zapominać, że ruch 1904—06 r. ogarnął całe społeczeństwo — że dzieci przyjmowały w nim żywy udział, że dziecięca psychika, wrażliwa i delikatna, odpowiadała z całą siłą na bieg życia i żyła uczuciami i nadziejami, któremi żyli wszyscy, z tą tylko różnicą, że *uczucia te i nadzieje nie były dla niej wytworem własnej głębokiej pracy myśli i duszy, były jakby z zewnątrz narzucone, nie zdążyły zrosnąć się z tą duszą— bo i dusza ta nie była jeszcze ukształtowana*. Innemi słowy — nie stworzyli oni sami dla siebie poczucia sensu życia, ale przyczepili się do cudzych, a więc nieprzeżytych, niewywalczonych stanów duchowych. I to jest jeden z najpotężniejszych czynników, który ich do klęski doprowadził. Jak łatwo przyjęli hasła i nastroje walki i męstwa, tak samo łatwo zbyli się ich w okresie apatji. Nie stracili sensu życia i woli życia, bo właściwie nie mieli ich wcale.

Arjos.

(Dokończenie nastąpi).

---

*) Względy etyki literackiej zmuszają mnie zaznaczyć, że porównanie psychiki bohatera „Mroku" do psychiki inteligiencji rosyjskiej spotkałem parę lat temu w artykule p. Heleny Kuskowej w gaz. „Towariszcz".

PRZEGLĄD.

Strajk masarski w Krakowie.

Przy ul. ś. Tomasza w starym budynku kościelnym, stanowiącym od niepamiętnych czasów własność kapituły krakowskiej, ma swą siedzibę utworzony przy czynnym współdziałaniu oo. jezuitów — „związek robotników katolickich". Tu przychodzą przemawiać z trybuny działacze chrześcijańsko-społeczni, świeccy i duchowni redaktorowie „Głosu Narodu", wszyscy społecznie czynni agitatorzy w sutanach. Tu w starych murach kapituły odbywały się zebrania i tajne konwektykle w czasie wyborów ostatnich do parlamentu, pierwszych wyborów dokonanych na zasadzie powszechności prawa wyborczego, gdy zatrwożeni o swe mandaty stańczycy, klerykali i demokraci podali sobie zgodnie dłonie do solidarnego zwalczania kandydatów robotniczych. Z pośród członków „związku" — którego straż przednią stanowi cechowa czeladź masarska— rekrutowały się hjeny wyborcze, pod ich eskortą odbywały się tajemnicze konszachty stronnictw, utrzymujących „porządek społeczny". To też łatwo wyobrazić sobie można wrażenie, jakie sprawiła w Krakowie wiadomość, że zgrupowani w „związku" robotnicy masarscy — w przeddzień samych świąt wielkanocnych — ogłosili strajk, żądając od majstrów polepszenia warunków pracy. W obozie klerykalnym nastąpiła konsternacja niesłychana. Majstrowie o jakichkolwiek ustępstwach ani słyszeć nie chcieli, i cały gniew ich zwrócił się przeciw przewodniczącemu związku, księdzu Mytkowiczowi. Wszakże nie dla czego innego popierali oni gorliwie robotę klerykalną wśród robotników, łożyli sowicie na pokrycie stałego deficytu w „Głosie Narodu", jak w tej otowierze — że utwierdzają w ten sposób podwaliny społeczne, że zabezpieczają siebie bezpośrednio i radykalnie przed niemiłemi objawami walki klasowej. Jak mógł teraz pozwolić ks. Mytkowicz, którego kazania złotouste o zgodzie i harmonji społecznej rozlegały się nieraz przy ul. św. Tomasza, by z łona stowarzyszenia katolickiego wyszły w świat buntownicze hasła strajkowe — tego majstrowie rzeźniccy w żaden sposób nie mogli zrozumieć, Ale i sytuacja wielebnego prezesa związku nie była wcale do pozazdroszczenia. Odczuwał on fałszywość swej pozycji wobec karmionych wiecznie obietnicami pupilów, wiedział doskonale, w jakim niebezpieczeń-

stwie znalazłaby się jego własna powaga w wypadku, gdyby w rozgorzałym konflikcie między pracą a kapitałem—oświadczył się on otwarcie po stronie tego ostatniego. Pojmował wódz katolickich robotników całą trudność położenia i dokładał wysiłków, aby za wszelką cenę pozostać w cieniu, poza obrębem wypadków, oczekując dalszego ich biegu. Jakoż wypadki nie kazały długo czekać na siebie. Pozostawiona własnemu losowi czeladź masarska uczuła niebawem na sobie ciężką rękę niedawnych „przyjaciół". Cała prasa „narodowa" wyparła się strajkujących i z lekkim sercem potępiła jednomyślnie ich usiłowania. Ani jedno z pism mieszczańskich nie przyjęło ostrzeżenia komitetu strajkowego, natomiast klerykalny „Głos Narodu" umieścił — komunikat majstrów rzeźnickich. Nawet pseudo-demokratyczna kumoszka „Nowa Reforma" odmówiła im uczuć „obywatelskich", pełna troski — iżby w wypadku przedłużenia strajku—Kraków nie pozostał bez wędlin na święta. Rozeszła się niebawem wiadomość, że podrażnieni majstrowie postanowili wysłać deputację do biskupa z prośbą, aby ten użył władzy swej wobec ks. Mytkowicza i poskromił zbłąkane na manowcach owieczki. Zanim jednak interwencja biskupia doszła do skutku, nastąpił wypadek, który zadecydował o losie strajku. W pobliżu jednego ze sklepów masarskich przyszło do starcia między strajkującemi a idącemi do pracy czeladnikami, przyczym jeden z łamistrajków, ugodzony nieszczęśliwie kamieniem, padł trupem na miejscu. Spowodowało to wkroczenie policji, która kilkunastu robotników aresztowała. Następstwem tego było, że po czterech dniach bezskutecznego strajku, nie uzyskawszy niczego, poddali się robotnicy na łaskę i niełaskę pracodawców, którzy rychło wśród nich porządek uczynili. Wtedy i ks. Mytkowicz uznał wreszcie za stosowne głos zabrać w tej sprawie i publicznie ręce umył w „Głosie Narodu", oświadczając, że z przegranym strajkiem — on „nic nie ma wspólnego". Ze sromotnie zakończonego strajku czeladź masarska tę jedną wyniosła korzyść: przekonała się ona na własnej skórze, do czego potrzebne są utrzymywane za pieniądze pracodawców „katolickie" związki i czego spodziewać się można po ich prowodyrach. O tym, że powyższe drogo opłacone doświadczenie nie pójdzie całkiem na marne, świadczy ostatnie zebranie strajkujących, na którym— po uchwaleniu przez większość przerwania strajku przyszło do scen tak burzliwych, jakich te stare mury kościelne nigdy dotąd świadkami nie były. Wieczorem tegoż dnia część robotników

masarskich udała się do lokalu klasowej organizacji robotniczej, szukając tam lepszych obrońców swoich interesów od fabrycznych patronów, którzy łudzili ich długo pięknemi słówkami, a w chwili stanowczej znikli sami z widowni, wydając ich na łup wyzysku pracodawców.

F. Zaorski.

Ze związku krawieckiego w Łodzi. W niedzielę, 17 kwietnia, odbyło się ogólne roczne zebranie związku zawodowego pracowników i pracownic krawieckich w Łodzi. Na zebraniu tym odczytane zostało sprawozdanie zarządu za rok ubiegły treści następującej:

Powstające wielkie zakłady krawieckie, zatrudniające po kilkadziesiąt robotników, wprowadzają doniosły przewrót w dotychczasowe stosunki do niedawna jeszcze drobnego przemysłu krawieckiego. Drobne zakłady krawieckie coraz bardziej topnieją w zaciętej walce konkurencyjnej z wielkiemi zakładami.

Wślad za przewrotem ekonomicznym następuje cały szereg zmian w codziennym życiu robotników. Dawniej uczeń, rozpoczynając praktykę rzemiosła, już marzył, że po skończonej praktyce, a co najwyżej po kilku latach pracy czeladniczej, założy sobie własną pracownię. Nie było to wtenczas nic trudnego, byle posiadać wykształcenie zawodowe i trochę pieniędzy.

A dziś? Dziś robotnikowi, który już uświadomił sobie zachodzące zmiany, nie uśmiecha się wcale myśl o własnej pracowni pod bokiem wielkiego przedsiębiorstwa. Powstaje więc cała masa robotników, skazanych na wieczną pracę u przedsiębiorców. Coprawda marzą oni jeszcze o własnych pracowniach, lecz niestety dla większości ich marzenie pozostanie marzeniem. To też nie pozostaje nic innego jak wyszukiwanie nowych sposobów zabezpieczenia sobie lepszego jutra.

Na takim właśnie podłożu zakiełkowała wśród robotników krawieckich myśl stworzenia związku zawodowego dla obrony swoich interesów zawodowych. Myśl ta jednak, z powodu specjalnych warunków, w jakich znajduje się przemysł krawiecki, niełatwo daje się urzeczywistnić.

Rozdrobnienie przemysłu oraz rozpowszechnione bardzo szeroko chałupnictwo sprawia, że cała masa robotników krawieckich znajduje się w kompletnej rozsypce. Większość

działa tu jak komu lepiej i dogodniej, nie oglądając się na innych. Ten i ów stara się zaskarbić sobie łaskę majstra, inny daje łapówki zarządzającemu zakładem lub krojczemu, ażeby od niego dostać dużo i lepszą robotę. Jeszcze inny widzi swoje szczęście w założeniu chałupnictwa, w tym systemie pracy, który na Zachodzie słusznie piętnują jako system wyciskania krwi i potu. Tego smutnego obrazu dopełnia brak jakichkolwiek norm pracy. Dzień roboczy przedłużony jest do nieskończoności, zwłaszcza w drobnych zakładach i u chałupników praca trwa do 11-ej i 12-ej, a nieraz i całą noc. Nienormalności pracy i brak określonego czasu na odpoczynek powoduje stałe napięcie nerwów i wogóle działa przygnębiająco na robotników.

W takich warunkach rozwój związku postępuje bardzo powoli. Przy ogólnych niepomyślnych warunkach dotkliwie daje się odczuwać brak inicjatywy, jak również brak ludzi o praktycznym wyrobieniu w pracy związkowej. To też z konieczności rzeczy działalność związku polegała wyłącznie prawie na stronie wewnętrznej. Dopiero w końcu roku sprawozdawczego zarząd mógł zająć się sprawami ogólniejszego znaczenia. Przedewszystkim chodziło o dokładne zbadanie warunków pracy, gdyż pod tym względem położenie przedstawia się bardzo niejasno. W tym celu zarząd rozesłał ankietę, której rezultat wkrótce będzie opublikowany. Zamierzony cel prawdopodobnie niezupełnie będzie osiągnięty, ponieważ spotyka się robotników krocie, którzy nie rozumiejąc znaczenia ankiety, niechętnie udzielają odpowiedzi.

Fakt powyższy bardzo dobitnie wskazuje, że jednocześnie z działalnością związkową musi być prowadzona działalność oświatowa, ze względu jednak na szczupłe rozmiary związku, nie można było przedsięwziąść żadnej szerszej samodzielnej akcji oświatowej. To też zarząd starał się robić co można: Wspierano czytelnictwo wśród członków, uprzystępniając nabywanie odpowiednich książek, pośredniczono w nabywaniu biletów na odczyty Tow. kulturalnych. Przytym zarząd organizował zbiorowe zwiedzanie wystaw naukowych (przyrodniczej, urządzonej w r. ub. przez Tow. wpisów szkolnych i antyalkoholicznej).

W ciągu roku sprawozdawczego zapisało się do związku 37 członków, ubyło 10. W końcu roku związek liczył 62 członków.

Za pośrednictwem związku otrzymało pracę 24 robotników.

Sprawozdanie kasowe (za czas do 1 kwietnia r. b.) zawiera pozycje następujące:

W przychodzie: pozostałosc z r. 1908 — 50 rb. 68 kop., wpisowe 18 rb. 50 k., składki członk. 235 rb. 50 k., ofiary dobrowolne 12 rb. 76 kop., zwroty 2 rb., razem 319 rb. 46 k. W rozchodzie: lokale 58 rb. 90 k., administracja 6 rb. 12 k., zapom. 12 rb. 30 k., cele oświatowe 8 rb. 82 k., razem 86 rb. 14 k. Pozostałość 233 rb. 32 k.

Sprawozdanie zebranie przyjęło w całości.

Następnie uchwalono, aby bezrobotni członkowie otrzymywali zapomogi w wysokości określonej regulaminem.

Do zarządu wybrani zostali: Ignacy Gralak, Feliks Motylewski, Franc. Wróblewski, Franc. Stępczyński, Józef Rosicki, Feliks Werlichowicz, Władysław Samuel. Do komisji rewizyjnej: Antoni Ćwirko, Marjan Kwiatkowski, Stefan Pogonowicz.

Różne wiadomości.

— Liczba uczniów szkół średnich. Według danych urzędowych, na 14 stycz. r. b. we wszystkich średnich zakładach naukowych okręgu warszawskiego, rządowych i prywatnych z prawami, było uczniów ogółem 16,205 (w tej liczbie w gimnazjach i progimnazjach męskich 6,667. w szkołach realnych 1,711, w progimnazjach i gimnazjach żeńskich 7,827). Nie przyjęto do rzeczonych zakładów ogółem 4,922 osób (w tym do gimnazjów i progimnazjów męskich 3,314, do szkół realnych 344 i do szkół żeńskich 1,264) — z powodu niezdania egzaminu, z braku miejsca lub z powodu niestawienia się do egzaminu.

— Proces A. Niemojewskiego. Po śmierci słynnego redaktora antysemickiej „Roli“ Jana Jeleńskiego p. A. Niemojewski w „Myśli Niepodległej“ w dosadny sposób scharakteryzował działalność zmarłego. Syn tego ostatniego, p. Szczepan Jeleński. teraźniejszy redaktor „Roli“, wystąpił do warszawskiego sądu okręgowego ze skargą przeciwko Niemojewskiemu za spotwarzenie ojca. Niedawno sąd rozpatrywał tę sprawę. Ciekawe były zeznania niektórych świadków. Świadek Antoni Miller: Jeleński był niegdyś postępowcem pod kierunkiem Wiślickiego, później raptownie przeszedł do stronnictwa antysemickiego i w nim zaczął robić karjerę, przedewszystkim materjalną, siejąc w każdym numerze swego pisma waśń między Polakami a żydami przez rozniecanie nienawiści ku żydom. J. wystąpił swego czasu z najczerniejszemi insynuacjami przeciw towarzystwu czytelń bezpłatnych. Ogólne jednak zdanie o nim było takie, że jest to człowiek bez przekonań i wszystko robi dla gieszeftu. Zdanie to zostało potwierdzone w ten sposób, że w istocie J. na antysemityzmie zrobił majątek. Świadek Stefan Demby: zajmując się biografjami polskich pisarzy, zebrałem między innemi wyciągi z „Roli“, charakteryzujące J., jako publicystę. Według owych wyciągów, zgromadzenie zwolenników wolnej myśli nazywał J. „zgromadzeniem wolnych bydląt“. Mówił o „programie zwierzęco-masońskim“. Nazywał postępowców „wolnomyślną menażerją“, „okazami domowej fauny“, p. Moszczeńską — „sroczką domową“, Niemojewskiego — „przysięgłym kalumniatorem“, Świętochowskiego — „nędznym chwalcą wszystkiego, co jest podłe“, Wiś-

lickiego — „w denuncjacji bardzo kompetentnym“ i t. d. „Rola“ nie krępowała się najordynarniejszym doborem słów pod adresem zasłużonych i szanowanych ludzi. Świadek Tomasz Nowicki: w „Roli“ ukazał się protest przeciw mojej działalności z podpisami wielu ludzi. Później okazało się, że niektórzy z podpisanych nigdy się na owym preteście nie podpisywali w rzeczywistości, a niektórzy nawet pisać nie umieli. Świadek Iza Moszczeńska: opinja publiczna była jaknajgorszego mniemania o J. Pisma tak nim gardziły, że postanowiono wcale o nim nie pisać, ani źle, ani dobrze. Po wystąpieniach J. przeciw czytelniom bezpłatnym w roku 1909, nastąpiły liczne aresztowania, które przypisywano insynuacjom „Roli“. Mimo wywody obrony sąd skazał p. Niemojewskiego na dwa miesiące więzirnia.

— Echa pożaru w Noworadomsku. W sobotę po południu wywieszono przed kantorem spalonej fabryki giętych mebli b-ci Kohn następujące zawiadomienie: „Niniejszym podaje się do wiadomości ogółu robotników fabryki „Akc. Tow. J. J. Kohn“, że po spłonięciu fabryki robota najprawdopobniej nie rozpocznie się wcześniej jak za trzy miesiące, wskutek czego powołując się na paragraf 104 ust. przemysłowej, wszyscy robotnicy zostają uwolnieni.

— Echa walk bratobójczych. „Kurjer Zagłębia“ z dn. 21 kwietnia 1910, donosi: Dnia 10 maja r. b. piotrkowski Sąd Okręgowy w Częstochowie rozpatrywać będzie sprawę między robotnikami fabryki Zawiercie o walkę bratobójczą w d. 3 maja 1907 roku. Jak wiadomo w walce tej zamordowano 2 i poraniono 3 socjalistów, którzy protestowali przeciw zatrzymywaniu w dniu tym fabryki.

— Z Częstochowy. Z Częstochowy piszą do nas: U nas tu dzieje się to samo, co i wszędzie. Fabrykanci dwa razy już obniżyli płacę, a teraz niektórzy z nich już po raz trzeci ją obniżają. Tak postąpiła fabryka celluloidalna Landau i S-ka, w której niedawno wprowadzono obniżkę o 30%. W fabryce tej pracują przeważnie robotnice, zarabiające 2 rb. tygodniowo. Można zarobić i więcej, ale to zależy od majstra, któremu trzeba się przypodobać... a co to znaczy, to każdy rozumie. Wogóle pp. majstrowie teraz dużo sobie pozwalają. Naprz. w fabryce metallurgicznej Wulkan majster, który jest członkiem Związku katolickiego, wprowadził przymusowy podatek na kościół, który z każdej wypłaty jest pobierany. Kto zapłaci, ten dostaje kartkę i portjer go wypuszcza; kto kartki nie ma, tego portjer wprost nie puszcza. — Zanotować jeszcze należy, że w ostatnich czasach robotnicy tutejsi bardzo garnąć się zaczęli do instytucji oświatowych. Szkoda, że nie wszyscy!

— Wybory w Poznaniu. W Poznaniu na wyborach ściślejszych zwyciężył kandydat polski St. Nowicki. Otrzymał on 20,273 głosy i zwyciężył kandydata niemieckiego Wilmsa, który otrzymał 14,124 gł., większością 6,149 głosów. W porównaniu z wyborami poprzedniemi ilość głosów polskich wzrosła o 1,822. Na poprzednich wyborach na 2-ch kandydatów polskich oddano 18,451. Ilość głosów niemieckich wzrosła o 1,545. Na wyborach poprzednich kandydat niemiecki otrzymał 12,579 głosów.

— Odrzucenie projektu skazania warunkowego. Jedyny stosunkowo liberalny projekt prawodawczy obecnego gabinetu o skazaniu warunkowym (prawo sądu zawieszania w pewnych razach kary wyznaczonej przestępcy, aż do popełnienia przez niego nowego wykroczenia) został przez Radę Państwa odrzucony. Jest godne uwagi, że w liczbie większości reakcyjnej, która o losie projektu zadecydowała, znalazł się i polski członek Rady Państwa p. Stefan Godlewski (większość Polaków głosowała za projektem). Bał się p. Godlewski, że zwiększą się zło-

dziejstwa, gdy się złodzieje dowiedzą, że raz ukraść wolno Polski tenmamut doskonale pasuje do rosyjskich żubrów.

— Nowy projekt prawa o szkołach prywatnych. Ministerjum oświaty wniosło do Rady ministrów wniosek terminowy w sprawie szkół prywatnych. Szkoły prywatne dzielą się na trzy kategorje: niższe, wyższe i średnie i mogą być otwierane oddzielnie dla mężczyzn i kobiet, lub dla obu płci razem. Nauka odbywa się w wyższych szkołach na zasadzie pozwolenia kuratora. W wyższych zakładach naukowych wszystkie przedmioty, prócz religji obcych wyznań i języka rodowitego, wykładane są w języku państwowym. Wykłady w ojczystym nie w rosyjskim języku wszystkich przedmiotów, prócz rosyjskiego, literatury, historji i gieografiji dozwolone są w tych niższych i średnich zakładach naukowych, które otwarte są w miejscowościach z ludnością i wyłącznie dla dzieci mówiących w tym języku. W zakładach naukowych dla dzieci różnych narodowości wykłady prowadzone są w języku państwowym. Dozwala się używanie podręczników tylko z liczby zaleconych przez ministerjum oświaty, lub miejscowego kuratora Organizatorzy szkół — nie chrześcijanie, sektanci, mają prawo otwierania szkół prywatnych tylko dla osób tego wyznania, do którego należą sami. Z projektu tego wynika, że zamierzone są nowe ograniczenia i zakazy językowe w szkołach prywatnych.

— Zamknięcie stowarzyszenia ukraińskiego „Proswita". Stowarzyszenie to zostało zamknięte przez urząd gubernjalny za „niestosowanie się do ustawy i tendencyjną działalnoćć". Dla likwidacji dano mu 20-dniowy termin. „Proswita" istniała 4 lata i w ostatnich czasach liczyła 700 członków. Zgodnie z ustawą, celem jej było „współdziałanie rozwojowi kultury ukraińskiej, zwłaszcza oświacie ludu ukraińskiego w rodzimym jego języku w Kijowie i gubernji Kijowskiej". Stowarzyszenie miało prawo wydawać książki i pisma w języku ukraińskim, zakładać bibljoteki, muzea, czytelnie ludowe, urządzać wykłady, odczyty, kursy oświatowe, przedstawienia, wieczory literackie, koncerty. Działalność tę „Proswita" rozwijała z powodzeniem. Pomiędzy innemi wydała ona 36 broszur ludowych w 150,000 egz. i zorganizowała bibljotekę, liczącą około 10,000 książek. Zarząd Stowarzyszenia postanowił zaskarżyć decyzję urzędu do Senatu.

— Z więzień. Jak donosi gazeta rosyjska „K. Myśl", w akatujskim więzieniu katorżniczym w ostatnich czasach stosunki uległy pogorszeniu. Więźniom zostały odjęte kołdry, poduszki, bielizna, tytoń, fotografje krewnych i t. d. Widzenia z krewnemi nie są dozwalane, nie pozwala się nawet krewnym mieszkać na odległości bliższej jak 200 wiorst od Akatuja. Pisać do rodziców, żon i mężów można tylko raz na miesiąc, do braci i sióstr raz na dwa miesiące; korespondencja z dalszemi krewnemi jest wzbroniona. Oddawna już zaprzestano wypuszczać więźniów politycznych do „wolnej komandy". Znajdujący się na katordze L. Mirski został przed 3 laty uznany przez komisję lekarską za chorego, skutkiem czego bezterminowa katorga została mu zmniejszona do 3 lat. Termin ten już przeszedł, obecnie jednak zdecydowano, że skrócenie terminu było nieprawidłowe.

KARTKI Z PODRÓŻY.

Wyjechałem z Warszawy z kapitałem 40 rubli w kieszeni, znajomością fachu stolarskiego i szczerą ochotą zwiedzenia przynajmniej wszystkich stolic Europy. Pierwszym moim etapem był Berlin. Niegościnne miasto. Też same, co i w Warszawie trudności pasportowe i meldunkowe. Tenże sam dozór policyjny, tylko zamiast chudych stójkowych, na rogach ulic grubi szucmani. Patrząc na ich dobrą tuszę i pełen powagi wyraz twarzy, doszedłem do przekonania, że piwo berlińskie musi być lepsze od warszawskiego i chcąc to sprawdzić, wstąpiłem do najbliższej piwiarni. Tyle się naczytałem w naszych pismach o pruskim hakatyźmie i nietolerancji, że postanowiłem zachować ścisłe incognito co do mojej narodowości i, w razie czego, powiedzieć, dajmy na to, że jestem Chińczykiem lub Turkiem. Po paru minutach wszedł do piwiarni jakiś wysoki, przyzwoicie ubrany jegomość; rozejrzał się po sali, a ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, przystąpił do mnie i, o zgrozo... nawet uchylił błyszczącego cylindra, poczym przysiadł się do mnie. Pewnie się nie domyśla z kim ma przyjemność, pomyślałem, inaczejby się nie kłaniał. Po chwili przysiadł się do naszego stolika jeszcze jeden, nowoprzybyły, gość. Po krótkiej pauzie jegomość, który wszedł pierwszy, zagadnął mię o coś. Znając sporo niemieckich słów, po długich usiłowaniach wytłumaczyłem mu, że nie znam niemieckiego języka, że jestem Polakiem (o zachowaniu tajemnicy na razie zapomniałem) i, nakoniec, że szukam w Berlinie pewnej firmy, w której pracuje mój kolega. Panowie poprosili kelnera o książkę adresową, wyszukali żądaną firmę, poinformowawszy zarazem, jak do niej trafić, a wreszcie objaśnili mnie szczegółowo, gdzie można otrzymać tani wikt i nocleg. Podobne dowody bezinteresownej uprzejmości otrzymywałem na każdym kroku, co mię ostatecznie utwierdziło w przekonaniu, że nasza kurjerkowa piosenka o ogólno-pruskim hakatyźmie jest conajmniej przesadzona. Gdym się już poznał z głównemi ulicami Berlina, znalazłem pracę przy budowie nowego domu. W dwa tygodnie później musiałem opuścić Berlin, z przyczyn odemnie niezależnych. Zatrzymawszy się z ciekawości dwa dni w Dreźnie i dzień w Kolonji, udałem się do Paryża, bo ten ze wszystkich miast świata najbardziej mię nęcił.

Przy sposobności muszę powiedzieć słów parę o tym, jak jeżdżą zagranicą niektórzy ludzie „na gapę“. Nie dla tego piszę, abym miał popierać ten system jazdy, gdyż sam jestem jego zdecydowanym wrogiem, tylko... no, dla napiętnowania choćby tych wyzyskiwaczy kolejowych. U nas, na każdym prawie przystanku, konduktor fatyguje pasażerów trzeciej i czwartej klasy żądaniem pokazania biletu. Tam zaś, zwłaszcza nocą, zadawalnia się wymienieniem nazwy stacji. Otóż taki amator bezpłatnej jazdy kupuje bilet peronowy, wsiada do pociągu i przeważnie udaje, że śpi. (Co za bezczelność!). Na stacji zaś, gdzie mu wypada wysiąść, prosi kogokolwiek ze współpasażerów o wykupienie drugiego biletu peronowego, za okazaniem którego może opuścić peron.

Po przyjeździe do Paryża odrazu uderzyła mię zewnętrzna różnica między nim, a Berlinem. Berlin spokojny, poważny, o szerokich arterjach komunikacyjnych, znać, że z góry miał zakreślony plan swego rozwoju. Paryż hałaśliwy, o ulicach przeważnie wązkich, na chodnikach których tłoczą się kawiarnie i różne towary, nie mogące się widocznie pomieścić wewnątrz olbrzymich magazynów. Pierwszy czysty w każdej porze dnia, drugi — tylko zrana. Charakterystykę budowli i pomników pozostawiam architektom. Zaznaczam tylko, że posąg Republiki, na placu tegoż nazwiska, przyjemniejsze na mnie uczynił wrażenie, niż owa, z olbrzymim mieczem, berlińska Giermania.

Utarło się między nami przekonanie, że dla otrzymania pracy zagranicą, niezbędną jest znajomość języków obcych. Jest to bezwarunkowo pożyteczne, ale nie niezbędne, paryzcy patronowie naprzykład chętniej najmują do pracy cudzoziemców (którzy pracują za mniejszą cenę), niż swoich. Minimalna płaca dla rzemieślników, postanowiona przez syndykaty, wynosi 16 sous (prawie 32 kop.) za godzinę. Z powodu jednak małej liczby robotników zorganizowanych, ceny te utrzymują się jedynie w dużych fabrykach, w małych płacą od 10 sous za godzinę. Przytym każdy wytwarza własnemi narzędziami, co mu pochłania pewną część zarobku i jednocześnie znakomicie sprzyja rozwojowi chałupnictwa.

Przebyłem w Paryżu zaledwie 4 miesiące i nie zdążyłem się jeszcze rozejrzeć dokładnie w stosunkach tam panujących, kiedy znów jakieś fatum zmusiło mię do opuszczenia tego pięknego miasta. Zdarzyło się mianowicie, że wypadkiem spotkałem w Luwrze dwuch Warszawiaków, z których

jeden, z zawodu cyzler, był moim szkolnym kolegą. Towarzysz jego, piętnastoletni chłopiec, wyjechał z kraju, początkowo pracował w wiedeńskich kawiarniach jako piccolo, następnie kolejno przebywał we Francji i Angli i po siedmiu latach został wykwalifikowanym kielnerem i władał językami: niemieckim, francuskim i angielskim. Radość z naszego spotkania psuł jedynie fakt, że obydwaj młodzieńcy byli dłuższy czas bez pracy, zamierzali więc zaciągnąć się do francuskiej legji cudzoziemskiej. Przytym tyle fantazji włożyli w swój pomysł, że bez wahania porzuciłem pracę i przystałem do nich. Zgodzę się z temi, którzy nazywają pracę obowiązkiem każdego człowieka, lecz nigdy z twierdzącemi, że praca jest przyjemnością. Bo co może być przyjemnego naprzykład w heblowaniu sękatej deski lub piłowaniu czterocalowego mahoniowego bala? To też nikt się pewnie nie dziwi, że i w robotniku budzi się czasami tęsknota do owego *dolce far niente* (słodkiego nic nierobienia). „Potępiamy — mówili moi koledzy—politykę kolonjalną Francji, a idziemy tam jedynie dla wrażeń, dla pewnego rodzaju sportu. Jeżeli się nam nie powiedzie, damy najzwyklejszego drapaka“.

Nie zastanawiając się długo i nie mówiąc o zamiarze nikomu z „Polonji“ (mała rzecz, a wstyd) na drugi dzień o ósmej zrana stanęliśmy przed „Hôtel des Invalides“. W ciągu godziny nazbierało się ochotników blizko piętnastu. Na samym końcu policjant przyprowadził ogromnie wynędzniałego Rosjanina, którego przedewszystkim nakarmiono. Dowiedzieliśmy się od niego, że był dezerterem i do Paryża przywędrował pieszo. Wślad za tą parą zdążał jakiś Belg, tak wysoki, że nie zmieściłby się w najwyższej z suteryn warszawskich, i tak chudy, że najniewybredniejszy z ludożerców nie pomieściłby go w swym jadłospisie. Weszliśmy do poczekalni, meldując się dyżurnemu sierżantowi. Po chwili usłyszeliśmy z sąsiedniego pokoju energicznym basem wymówione: „*entrez*“ i rozpoczęła się tragikomedja. Rosjanin oprócz *merci*, paru niemieckich słów, jak to: praca, chleb, spać i t. d., nie znał żadnych obcych wyrazów. Przy pierwszej próbie porozumienia się z nim, oficerowie wybuchnęli homerycznym śmiechem. Z poczciwej otwartej twarzy biedaka można było czytać jak z księgi: w pierwszej chwili pomieszanie, następnie zdziwienie, a w końcu gniew. Już mi się zdawało, że plunie na sam środek pokoju, zaklnie „po matuszkie“ i wróci nazad w swoich wielkich butach przez Francję i Prusy do Rosji.

Wtym wystąpił kolega kelner, oświadczając gotowość podjęcia się roli tłumacza. Usługi jego przyjęto bardzo chętnie i zapis poszedł w szybszym tempie. Oświadczono nam, że służba trwa conajmniej pięć lat, po upływie których wszyscy lojalnie się zachowujący mogą otrzymać obywatelstwo francuskie. Nazwiska podawano przeważnie fantazyjne. Po skończeniu zapisów odbyły się oględziny lekarskie, następnie rozdano nam bilety na bezpłatny przejazd do Marsylji.

Na dworcu marsylskim oczekiwał nas kapral z pięcioma żołnierzami, pod ich opieką udaliśmy się do twierdzy. Grzeczność, jaką nam okazywano w Paryżu, znikła bez śladu. Brutalni oficerowie i żołnierze z nietajoną pogardą spoglądali na garstkę obdartych ochotników. Osiem dni czekaliśmy w Marsylji na parowiec, mający nas zawieźć do Oranu w Afryce. Tymczasem od rana do wieczoru zmuszano nas do pełnienia najrozmaitszych czynności, nic wspólnego z służbą wojskową nie mających. Nasz kolega kelner wolał cały czas przesiedzieć w kozie, twierdząc, że jego nowy frak wcale nie harmonizuje z miotłą. Ósmego dnia wsiedliśmy na okręt i po 40 godzinach podróży znaleźliśmy się w Oranie. Tam połowę z nas przeznaczono do pierwszego regimentu w Sidi-bel-abbes, a pozostałych do drugiego w Saida (w Algierze). Nasza trójka dostała się do pierwszego regimentu.

Początkowo służba wojskowa miała dla mnie pewien urok: jak żyję, nie nosiłem czerwonych spodni, ciemno-niebieskiej bluzy i naramienników, w wojsku dopiero spotkała mnie ta przyjemność. W pierwszą niedzielę, gdy nam już pozwolono wychodzić na miasto, udaliśmy się we trzech do kawiarni z salą do tańca. Zajęliśmy stolik, prosząc o litr wina. Z pewną wyższością spoglądaliśmy na tych cywilów, przeważnie Hiszpanów, z których żaden przecież nie nosił czerwonych spodni i ciemno-niebieskiej bluzy, a co najważniejsza, nie miał gęstej żołnierskiej miny. Pomimo tego, młode dziewczęta, również Hiszpanki, czarnookie brunetki, z tak rozkosznym uśmiechem przyjmowały ich zaproszenia do tańca, że nam z zazdrości nawet wino nie smakowało. Tymczasem orkiestra zagrała mazura. To już było ponad nasze siły. Spojrzawszy na siebie porozumiewawczo, ruszyliśmy od stolika. My wam pokażemy jak się u nas tańczy mazura. Kolega kelner, nawiasem mówiąc, przystojny chłopak, z najprzyjemniejszym w świecie uśmiechem poprosił jedną z dziew-

cząt do tańca, ale, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, oprócz pogardliwego spojrzenia nie otrzymał nawet odpowiedzi. To samo spotkało drugiego. Jak niepyszni zajęliśmy swe miejsca, podczas gdy na sali rozległ się szalony śmiech, — co mówię śmiech, to była orgja śmiechu. Śmieli się tancerze i tancerki, śmiał się właściciel bufetu, trochę dyskretniej, śmieli się garsoni, nawet orkiestra przestała grać, porwana ogólną wesołością. Czymprędzej opuściliśmy kawiarnię. Niechby nam się teraz kto roześmiał, mybyśmy mu tę gamę śmiechu nazad do gardła wtłoczyli. A z restauracji wychylały się rozbawione twarze i w uszach wciąż nam brzmiał ich śmiech szyderczy. Już to legjoniści nie cieszą się dobrą opinją mieszkańców Sidi-bel-abbes'u, Arabów i Hiszpanów! Coprawda nad wyrobieniem tej opinji rzetelnie pracowali. Bijatyki między żołnierzami a tubylcami są na porządku dziennym. Ponieważ płaca dzienna legjonisty wynosi 5 cent. (2 kop.), bardzo więc często się zdarza, że z któregokolwiek pokoju ginie karabin, za który Arabi płacą 30 fr., a jego niefortunny właściciel idzie na dwa miesiące do kozy.

Procentowo dzielą się legjony mniej więcej tak: Niemców 50%, Alzatczyków i Lotaryngczyków 15%, Włochów 10%, Polaków 3% i t. d. W ciągu trzech miesięcy kaprale i sierżanci kładli nam w głowy całą mądrość wojskową, tłumacząc, jaka jest różnica między prawą stroną a lewą, między jedną nogą a drugą. Najmniej nudnemi stosunkowo były manewry, gdy, rozproszeni, małemi oddziałami goniliśmy fikcyjnego nieprzyjaciela, tratując winnice, których właściciel Arab z bezsilną wściekłością przygląda się, jak ludzie cywilizowani marnują jego pracę. W legjonach panuje wprost epidemja dezercji i conajmniej 80% (cyfra nie przesadzona) ochotników próbuje jej. Ucieczkę uniemożliwia doskonale zorganizowana żandarmerja, składająca się przeważnie z okslegjonistów, wobec czego liczba faktycznych dezerterów nie przekracza 5%. Za dezertera uważają tego, kto nie zjawił się w pułku dłużej niż dziesięć dni. Schwytanych przed tym terminem zbyt surowo nie karzą. Władza wojskowa za każdego schwytanego legjonistę płaci Arabom po 15 fr., lecz ci rzadko korzystają z tego, przeciwnie informacjami ułatwiają im ucieczkę. Niejeden z czytelników zada mi pytanie: „Czy etycznym jest dawać słowo honoru, że się będzie służyło wiernie pięć lat, a potym je łamać?“ Ja zaś w odpowiedzi zapytuję: „Czy ma co wspólnego z etyką postępowanie Republiki, która ludzi, zagnanych do Francji różnemi przyczy-

nami, często wynędzniałych, których na razie nic nie nęci, prócz pełnej misy, wreszcie nie mających na razie innego wyjścia, nie dając im czasu do zastanowienia— pozbawia na całe długie pięć lat swobody.

Zbyteczne jest dodawać, że po trzech miesiącach tak nam obrzydła służba wojskowa, iż za wszelką cenę postanowiliśmy uciekać. Tymbardziej gdyśmy się dowiedzieli, że dwa plutony naszej kompanji mają być wysłane do Marocca, skąd właśnie przybył większy niż zwykle transport rannych. Między rannemi znajdował się pewien Polak z Galicji, pojechał tam młody, zdrów i silny, marząc o galonach oficerskich, wrócił bez obu nóg z przedwczesnemi zmarszczkami na młodym obliczu. Wieczorem kazano nam się gotować do drogi. Smutny to był wieczór. Jakiś Bawarczyk, dziecko siedemnastoletnie, siadł do pisania listu i przy pierwszych słowach rozpłakał się. Dziwna rzecz, nikt się nie roześmiał z tego ślamazarnego żołnierza. Kto miał do kogo pisać — pisał, kto nie—szedł do pułkowej knajpy na pijatykę. My zaś cichaczem wymknęliśmy się na miasto. Wspólny nasz kapitał wynosił około 100 franków. Porobiwszy zakupy żywności, zaopatrzeni w mapę i busolę, udaliśmy się pieszo linją kolejową w kierunku Marocca. Obliczyliśmy, iż po 15 dniach, robiąc dziennie po 40 klm., dotrzemy do Melilli, posiadłości hiszpańskiej—a dalej jakoś tam będzie. Z konieczności musieliśmy iść nocami, a we dnie spać. Przez cały czas naszej podróży linja kolejowa była alarmowaną nieustannie. Na pierwszej zaraz stacji, chcąc się napić wody, odkręciliśmy kran w rezerwuarze, z którego nabierają wodę do lokomotyw. Tymczasem coś się tam widocznie popsuło! Woda lunęła całym prądem, szumiąc przeraźliwie. Ratuj się kto może! Drugiej nocy nie mogąc okrążyć miasteczka Lamorcier z powodu gęsto odrutowanych winnic i złych psów, które korzystając z naszej niewygodnej sytuacji, skubały nam czerwone spodnie, zmuszeni byliśmy przejść przez sam środek miasta. Przechodząc koło domu z napisem „Gendarmerie Nationale“ natknęliśmy się na jakiegoś człowieka w bieliźnie, którego licho wyniosło przed dom. Zauważywszy nas, czemprędzej zawrócił, pewnie, żeby się ubrać. Naturalnie nie czekając aż skończy garderobę, puściliśmy się kłusa. Za miastem Tlemcen linja kolejowa się kończyła i pomimo busoli i gwiazd, szliśmy dalej na chybił trafił. Czym bliżej granicy Marocca, tym rzadziej spotykaliśmy wioski, i robienie zapasów żywności połączone było z coraz większemi trudnościami.

Dziewiątego dnia znużeni i wyczerpani legliśmy w stogu słomy, oddawszy się rozmyślaniom. Humor, ten najlepszy towarzysz podróży, opuścił nas, ustępując miejsca czarnej melancholji. Podług wszelkiego prawdopobieństwa od Marocca dzieliło nas zaledwie 30 kilometrów. Przejdziemy, dajmy na to, granicę, co dalej? Czy Marokańczykom, z któremi nie spotykać się byłoby niepodobieństwem, na widok naszych żołnierskich mundurów, nie przyjdzie do głowy głupia myśl wysłania nas do innej, szczęśliwszej krainy? Brr.... stanowczo nie mieliśmy chęci opuszczenia naszego planety. Z przyjemnością bym zmienił wówczas swój trójgraniasty bagnet przy boku na hebel, zielony łąk kobierzec—na zwykły materac i niebios sklepienie na prozaiczny dach nad głową. Zmorzył nas sen. Oto widzę w jego mglistych wizjach rodzinne miasto. Biegnę znanemi sobie ulicami, zatrzymując się przed pewnym magazynem, gdzie pracowała „Ona". Już ósma. Naraz stanąłem jak wryty... „Ona" nic się wprawdzie nie zmieniła, ten sam skromny kapelusik, ta sama na niej ciemna sukienka i jasny w szare pasy żakiet, co gorsza—to samo spojrzenie, pod którego promieniami topniałem, i nawet śmiech ten sam, który kiedyś pieścił moje ucho — lecz zamiast mnie stąpał koło niej inny. Nie wiem coby się dalej stało, gdyby naraz, jak grom, nie rozległo się „gardez-vous!" (Baczność!) Porywamy się na równe nogi, przecierając zdumione oczy—przed nami stali żandarmi. W tydzień potym spacerowaliśmy po podwórzu „prison militaire" (więzienie wojskowe), dźwigając na ramionach 20 kilogramów piasku. Idjotyczną tę czynność spełnialiśmy przez 15 dni po 6 godzin dziennie.

Po obliczeniu naszych finansów okazało się, że posiadamy około 50 fr. razem. Za tę sumę we trzech uciekać byłoby niepodobieństwem. Ktoś podał propozycję ciągnienia sypełków. Los padł na mnie. Na drugi dzień po opuszczeniu więzienia z wielkim trudem udało mi się kupić cywilne ubranie (władze surowo zabraniają sprzedawania legjonistom czegokolwiekbądź z garderoby). Czwartego dnia byłem w Marsylji, czując się nawpół wolnym...

Edward Heller.